

Marek Zieliński

Antycypacja. Reportaż o tym, co mogło się zdarzyć...

*Pamięci Érica Rohmera i jego arcydzieła (Ma nuitchez Maud),
w którym mówi o coraz radszej w nas Pascalowej odwadze,
(le pari de Pascal) wyboru tego, co prawdziwe.*

Komunikat był zwięzły. Instytut Badań..... Akademii uprzejmie zawiadamia, że zapowiadana na dzień 25 września 197.... roku publiczna obrona pracy doktorskiej magistra Janusza P. na temat: Filozofia i sztuka. Rekonstrukcja podstawowych kategorii twórczości Witolda Gombrowicza nie odbędzie się. Zainteresowanych serdecznie przepraszamy. Dyrekcja Instytutu.

Udałem się do Pałacu, siedziby Instytutu. Pani w sekretariacie była nieufna.

– Nie wiem, dlaczego to pana interesuje, w końcu nic ciekawego. A dyrektor nie lubi dziennikarzy i może się łatwo zdenerwować.

Poszedłem do gabinetu. Szpakowaty, znany z ekranu telewizyjnego teatrolog, lekko uderzał palcami o szkło biurka.

– Magister Janusz P., aha już wiem – ten doktorant profesora Ż. Słabo znam szczegóły. Zdaje mi się, że zachorował. Jakaś dziwna choroba, neuroza, psychoza, coś w każdym razie z nerwami. Dokładnie nie wiem. Tyle, że prosił mnie o urlop kilka dni temu. Nawet osobiście był z podaniem. Rzeczywiście źle wyglądał. Kazałem mu się leczyć i zredagowałem komunikat. Profesor Ż. też dzwonił. Był zmartwiony. Wcale się nie dziwię, ubył mu doktorant, taki na ukończeniu przed egzaminem i obroną.

Muszę się Panu przyznać, właściwie to ja nie chciałem odwoływać. Praca gotowa, sama obrona jest i tak fikcyjna. Pozostaje egzamin. Ale to zawsze daje się załatwić. Co prawda, profesor S. – recenzentka jest złośliwa i lubi się przyczepiać, a z Ż. od dawna drą koty. Taka zwyczajna animozja dwojga wybitnych. Egzamin dałoby się jednak załatwić. Doktorant nie chciał. Powiedział, że nie będzie bronił. Tłumaczyłem. Nie słuchał. Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Z tymi młodymi naukowcami same kłopoty. Najpierw marzą o laurach, fundamentalnych dziełach, piszą je latami, a w końcu rzucają wszystko i wychodzą. Nie rozumieją, że humanistyka składa się z drobnych przyczynków, że naukę tworzą wypowiedzi, sugestie, wycinkowe analizy. No i że my tutaj w Instytucie mamy plany, wytyczne, tyle, a tyle doktoratów, tyle habilitacji. Z tego nas rozliczają. A magister P. był pewnym doktorem i proszę, tak nas zawiódł.

Dyrektor patrzył smutnym wzrokiem, w którym czuło się wyrzut. Tak zawieść jego i Instytut, którym kieruje. Otworzyłem drzwi, też byłem młody. Wąskie, długie korytarze, szereg pokoiów na jednym napis: Zespół literatury XX wieku, kierownik prof. dr Ż. Dni przyjęć. Akurat dzisiaj był.

– Nie mam czasu na rozmowy ani chęci. Zawracanie głowy. P. jest narwańcem. Przecież to była formalność. Byłby doktorem i to dobrym. O, bo P. jest zdolny. Jeden z najlepszych moich doktorantów. Praca była świetna. Mogę pożyczyć do przeczytania. Zaraz, gdzie ja ją mam. Aha, tutaj. Proszę....

Wziąłem gruby, oprawiony maszynopis. Zajrzałem na koniec. 425 stron. Nieźle. Przekartkowałem. Mało cytatów, nie ma w niej tak charakterystycznego dla doktoratów rozdzęcia bibliograficznego.

– Dziwi się pan? – Ż. zauważył moją reakcję.

– Bardzo własna praca, samodzielna. Tak, chyba najlepszy doktorat w mojej karierze promotora. Dlatego jestem wściekły.

– Ale dlaczego? – zapytałem nieśmiało. Rozłożył ręce. – Nie wiem. zaskoczył mnie. Może jest przepracowany, ale przecież parę dni i koniec. Dalibyśmy mu urlop, wypocząłby. A tak. Co gorsza, odmawia zgody na publikację. Absolutnie aspołeczna postawa. Trudno. Choć szkoda. I pomyśleć, że mu pomagałem. Wie pan, w 68' pracowałem jeszcze na uniwersytecie. Chciano go wyrzucić. Udział w wiecach, zabieranie głosu, jakieś ulotki. Głupstwa. Wtedy, były to poważne sprawy. Obroniłem. Nawet nie podziękował. Przyjął jako rzecz normalną.

– Ale doktorat pisał u pana profesora – wtrąciłem.

– Tak, rzeczywiście. Nie miał innego wyjścia. Kto by chciał go przyjąć z taką przeszłością. Komandos, bez zaplecza finansowego, meldunku. O wszystko musiałem się wystrząść.

– A zdolności? Przecież jest podobno zdolny?

– Zdolności? Nie ludźmy się! – Ż. machnął ręką. – Nie one decydują. W końcu nie jesteśmy dziećmi. Wiemy obaj, że dobry naukowiec musi nie tylko być zdolny, ale i ideowy, zaangażowany. Pamiętam przed wojną wspólnie z towarzyszami z KPP rozważaliśmy te problemy. Zdolności to nie wszystko. Postawa jest ważna. To, czy można zaufać... Oni przejmą za nas odpowiedzialność za losy nauki, ojczyzny. Muszą być uformowani. Milczałem.

Automat w budce połknął trzy złotówki, zanim połączyłem się z Andrzejem M. Znany krytyk literacki, zamieszany swego czasu w wydarzenia marcowe i potem pauzujący ponad rok z tego powodu, był bliskim przyjacielem Janusza P.

– Chętnie się spotkam, tylko nie wiem, czy będę mógł coś powiedzieć. To nie takie proste.

– Nie takie proste? – powtórzyłem jego słowa. Siedzieliśmy w małej kawiarni na Saskiej Kępie.

– Tak. Znam trochę jego losy, pewne fragmenty nawet dobrze. Ale czy stanowią jakąś sensowną całość? Wątpię. Sam ich nie rozumiem i nie wiem, czy przybliżyć go panu. W każdym razie spróbuję.

Historię Janusza P. można zacząć w dowolnym miejscu przestrzeni i momencie czasu. Każde z nich tyleż przybliży, co oddala. Uniwersytet, szkoła, dom, edukacja marcowa.... Najwcześniej był dom. Zwyczajny, normalny dom w powiatowym mieście, z pracującymi rodzicami, młodszą siostrą, kolegami z podwórka. Grał w piłkę, dużo czytał. Dobrze mu się żyło. Za dobrze. Troszczyli się o niego, dogadzali. Pierworodny, przeznaczony do największych celów, chuchali więc oboje, a szczególnie ojciec. Stary P. inżynier był niezłym człowiekiem, szeroka głowa, najlepszy w mieście matematyk. Januszowi wszystko było wolno, on rządził domem. Biegał, krzyczał, kaprysił, kiedy nie chciał iść do szkoły, nie szedł, nie chciał odrobić lekcji, odrabiali oni. Wygodnie żył. Byłem starszy, kończyłem liceum, samotnie przebijałem się do przodu, odczuwałem zazdrość, że tak mu dobrze, że nic od niego nie wymagają. Poza piłką nożną niczym się nie interesowałem. Miał żywą wyobraźnię. Nie tylko grał, także odgrywał. Udawał sprawozdawców radiowych, transmitował mecze, prowadził własną ligę piłkarską. Zdaje się, że to robi do dzisiaj. Nie uczył się. I tak miał piątki. Syn inżyniera, szacownego obywatela naszego miasta. Większość nauczycieli to byli uczniowie starego. Potem doszła sprawa muzyki. Śpiewał. Chyba nieźle, o ile mogę to ocenić z perspektywy tylu lat. Budził powszechne uznanie, oglądano się za nim, taki mały idol. Już nie tylko jako syn ojca, także i dzięki sobie. Cudowne dziecko. Nagle urwało się. Nadmierne forsowanie głosu, struny nie wytrzymały ćwiczeń, mutacja dokończyła dzieła. Przestał śpiewać. Nigdy mi się nie zwierzał, ale chyba odczuł to boleśnie. Nie dziwię się. Po raz pierwszy w sposób widomy poniósł porażkę i to taką nieodwołalną. Straciłem go z oczu. Wyjechałem do Warszawy, studia, doktorat. Spotkaliśmy się dopiero, gdy zaczął studiować. Pomagałem mu. Mieszkanie, dobór lektur. Lubiliśmy się bardzo. Taka zdrowa, męska przyjaźń. Ja zaczynałem być znany, drukowałem. Eseje, recenzje, asystentura na polonistycę, potem członkostwo Związku Literatów. Miałem dziewczyny. Studentki, uczennice, dziennikarki. Trochę mi zazdrościł. Sam był samotny, zamyślony, nienaturalnie chudy. Taki trochę nieobecny. Nawet śmierć ojca go nie obeszła. Nic nie mówił. Zupełnie jakby to nie jego dotyczyło. Napomykałem mu o nim. Nie podejmował rozmowy. Milczał. Oddaliliśmy się od siebie. Nadal nie miał nikogo, ani dziewczyn, ani bliskich kolegów. Erotycznie był chyba niedojrzały, sprawy płci zupełnie go nie interesowały. Próbowałem mu podsunąć którąś ze swoich znajomych. Nic z tego. Czuję się winny. Wciągnąłem Janusza do organizacji. Dzisiaj wiem, że popełniłem błąd. Tym większy, że była to dziecinada. Zbieraliśmy się,

omawialiśmy problemy ekonomiczne, filozoficzne, dużo dyskutowaliśmy. Szalenie wszystko przeżywał. Ożywił się, znikła samotność. Nadal błądził, chodził z Heglem i Kołakowskim pod pachą. Ja już wtedy przeczuwałem, jak się nasze dyskusje skończą. Przystawało mnie to bawić. Gdyby nie dziewczyna, jej ciąża, odszedłbym wcześniej. A tak wystąpiłem dopiero w trakcie. Janusz pozostał do końca. Malował farbą hasła, roznosił ulotki. Kiedyś go złapano. Śledztwo, kilka dni w areszcie. Wyszedł jeszcze bledszy, ale i radosny. Straciłem go z oczu. Miałem proces. Siedziałem. Wyszedłem w atmosferze towarzyskiego ostracyzmu. Unikali mnie znajomi, porzuciła narzeczona. Janusz był wierny. Dyskutował, wysłuchiwał zwierzeń. Pozostaliśmy przyjaciółmi. Powoli zacząłem publikować, wznowiłem pracę naukową, redakcyjną. Ożeniłem się. Spotykałem się z nim od czasu do czasu, ale już rzadziej. Zmienił się. Interesował dziewczynami, bywał tajemniczy. Pomagałem mu przy doktoracie. Kiedy oświadczył, że nie chce bronić pracy, zaskoczony przekonywałem, pytałem o przyczyny. Nie chciał powiedzieć. Na moje wyczucie to jakaś sprawa sercowa, zakochał się, ona go nie chciała, przejęty swoim wielkim uczuciem, zatracił hierarchię ważności spraw. Nigdy nie cierpiał na nadmiar realizmu. Zarzucałem mu to zawsze. Wbrew pozorom ja sam jestem pragmatyczny. Inaczej nie doszedłbym do niczego. Januszowi zaś wciąż wydaje się, że pozostaje na utrzymaniu i opiece rodziców. Brakuje mu poczucia odpowiedzialności i zakorzenienia w realnej rzeczywistości. Wymyśla sobie odrębne światy: piłkarski, erotyczny i nie myśli o tym, co jest i co powinien robić. Zresztą tak dokładnie to nie wiem. Sądzę, że i pan nie będzie wiedział. U profesora Ż. pan był. Straszny bufon, ale zdaje mi się, że coś było między nim a Januszem, może to byłby ślad.

Pożegnaliśmy się, poszedłem nowym śladem. – Halo, czy zastałem redaktora Krzysztofa D. Dzień dobry. Ja w sprawie Janusza P. Mógłby Pan....

– Nie.

– Ale dlaczego? Chcę mu pomóc. Naprawdę, proszę mi wierzyć. Tylko kilka minut. Doprawdy nie sądziłem, że pan, jego najbliższy kolega ze studiów i przyjaciel odrzuci moją prośbę. Tak, u Andrzeja M. byłem. Mam ciekawe informacje. Do kogo się zgłosić? Do Elżbiety? Rozumiem. Dziękuję. Odłożyłem słuchawkę. Krzysztof D. nie chciał rozmawiać. Pozostawała niejaka Elżbieta, prawdopodobnie dziewczyna P.

– Ach, jak mnie Pan zaskoczył tym telefonem! Doprawdy serce mi biło! O teraz też czuję. Proszę posłuchać. Niech pan dotknie. Niżej, niżej, stuka. Chciałby pan czegoś o Januszu. Rozumiem. Biedny chłopiec. Ale doprawdy nie moja wina. Z nim nie można wytrzymać. Naprawdę. Wiem dobrze. Byłam przecież jego dziewczyną. Spaliśmy ze sobą. Oczywiście. Przecież to normalne. Zresztą.... Właściwie nie powinnam mówić. Ale.... Po raz pierwszy miał kontakt seksualny ze mną. Przeżywał. Nawet bardzo. Płakał, jak nie dzwoniłam. Błagał mnie, klęczał, ciągle proszący, pełen słabości. Litowałam się, tyle, że jak długo można. Odeszłam. To była konieczność. Nie, nie wiem, dlaczego nie chciał bronić. Absurdalna

decyzja. Znam profesora Ż., bardzo dobry człowiek i Janusz zrobił mu świństwo swoją decyzją. Sobie też, zależało mu w końcu na doktoracie, a szczególnie na Gombrowiczu. Pamiętam, jak potrafił godzinami cytować fragmenty *Dziennika*. Był fanatykiem tej twórczości. Stworzył zresztą opartą o Gombrowicza teorię miłości. Kochał niedojrzałość, młodość, niższość. Mówił mi o tym ciągle. Miałam dosyć. Jego pycha intelektualna, połączona ze słabością, znerwicowanie, postawa prosząca, żadna dziewczyna tego nie wytrzyma. Ja i tak wytrzymałam pół roku. Żałuję go oczywiście. Nic jednak nie poradzę. Chyba to wszystko. Więcej nie pamiętam, poprawy nie obiecuję... Jak będzie pan miał trochę czasu, proszę zadzwonić. Pójdziemy na kawę, porozmawiamy. Dobrze? Kiwnąłem głową.

W notesie wykreśliłem jeszcze jedną osobę. Pozostawało kilka. Najpierw pani K. dawna nauczycielka Janusza, jeszcze z miasta, z którego pochodził, dzisiaj mieszkająca z mężem, oficerem WP przy Puławskiej.

– Szalenie nerwowy chłopiec. Taki był zawsze. Pamiętam, gdy go uczyłam i coś mu się nie udało, uciekał z lekcji, płakał. Inna sprawa, że mógł sobie na to pozwolić. Wszyscy szanowaliśmy jego ojca. P. był formalnie zauroczony synem. Ożenił się późno, miał chyba ponad 50 lat, między nim a żoną było 30 lat różnicy, syn był dla niego wszystkim. Przychodził do szkoły i protestował, dlaczego jego Jańcio dostał gorszy stopień, przecież on wszystko umie. To była niezdrowa miłość. Wyłączna, pełna egotyzmu, niezrealizowanych ambicji. Inżynier P. rozdmuchiwał w Januszu wielkość, umieszczał w nim własne marzenia. Biedne dziecko przytłoczone ojcowskimi zamiarami. Współczułam Januszowi. Szczególnie pod koniec życia starego P., kiedy był zniedołężniały, sklerotyczny. W domu odbywały się ciągle kłótnie. P. nigdy nie był praktyczny, a wtedy zatracił ów zmysł całkowicie. Stąd wyrzuty żony, jej niechęć do niego. Matka Janusza była dobrą kobietą, ładną, wciąż jeszcze młodą. P. miał już wtedy ponad 60 lat, ona 30. Usługiwanie starcowi nie należało do przyjemności. Nie, nie zdradzała go. Była dobrą żoną, tyle, że w ostatnim okresie życia P. nie mogła już z nim wytrzymać. Ciągłe awantury o pieniądze tracone przez P., niechęć do jego starości. P. jadał oddzielnie, miał własny cukier, chleb, naczynia, Janusz wszystko to widział. Bardzo przeżywał sytuację domową. Wielki ojciec, któremu trzeba było pomagać w najprostszych czynnościach, matka pełna niechęci, nerwowości. Śmierć była wybawieniem. Mnie już wtedy nie było. Wyjechałam. Janusz odwiedzał nas w Warszawie. O ojcu nigdy nie mówił. Jakby zapomniał. Rzadko się zresztą zwierzał. Czasami przychodził zdenerwowany, mówił szeptem o dziewczynach, machał rękoma, wychodził. O doktoracie nic nie wiem.

Ciągle się to powtarzało. Nie wiem, nie rozumiem, trudno mi cokolwiek powiedzieć. Za zwykłą ludzką biografią kryła się tajemnica. Niby były ważne punkty, znaczące zawężenia, które dawały pozór wejścia w głąb. Po czym znowu się okazywało, że nic nie wiem. Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie – pisał Błażej Pascal. Nieuchwytność człowieczych śladów na swój sposób też była przerażająca. Było coś Pascalowskiego w atmosferze otaczającej

Janusza P. Tym bardziej że właśnie popodkreślany Pascal był najczęściej obok Gombrowicza wertowaną przez niego książką.

Ostatecznie bowiem czymże jest człowiek w przyrodzie? Nicością wobec nieskończoności, wszystkim wobec nicości, pośredkiem między niczym a wszystkim. Jest nieskończenie oddalony od rozumienia ostateczności, cel rzeczy i ich porządki są dlań na zawsze ukryte w nieprzeniknionej tajemnicy, równie niezdolny jest dojrzeć nicości z której go wyrwano, jak nieskończoności w której go pograżono.

Wypisałem ten kilkakrotnie obwiedziony ołówkiem fragment *Myśli* w nadziei, że może Pascal przywiedzie mnie do poznania... W gruncie rzeczy patetyczne frazy myśliciela z Port Royal także niczego nie tłumaczyły. Czyżby Janusz P. cierpiał na lęki metafizyczne i przeżywał tak intensywnie samotność w kosmosie, co spowodowało odrzucenie ziemskiej hierarchii rzeczy i promocji doktorskiej?

Było to efektowne tłumaczenie. Samo czytanie Pascala nie stanowiło jednak dostatecznej przesłanki do tego typu wyjaśnień. Wpędzony zostałem w ślepią uliczkę. Jeszcze raz przejrzałem listę osób zamieszanych w sprawy Janusza P. Kogoś mi brakowało. Matka? Nie. Cóż może powiedzieć, oddalona o 300 kilometrów od wszystkiego, nieutrzymująca innego kontaktu z synem poza listownym. Znałem już atmosferę domową, a wynurzenia samotnej kobiety nie mogły wnieść czegoś nowego. Pozostawał Janusz P. Czekala mnie najtrudniejsza rozmowa. Umówiłem się z nim nazajutrz.

Podałem mu maszynopis. Przeczytał powoli. – Ciekawe. Nigdy nie myślałem, że tak mnie pilnie obserwują i że tak mało wiedzą, a może i nie chcą powiedzieć. Co pan chciałby usłyszeć? Bąknąłem coś o decyzji rezygnacji z obrony pracy doktorskiej i poszukiwania przeze mnie motywów tego kroku, w sytuacji, kiedy doktorat staje się synonimem lepszego życia i kariery. No i, że – zainteresowała mnie jego osoba. Chwilę się wahał.

– Chyba pana rozczaruję. Szukał pan efektownego filozoficznego, może psychoanalitycznego rozwiązania sprawy. Tymczasem prawda jest znacznie uboższa w podteksty, wręcz trywialna, a przy tym... Wstydzę się, ale po prostu... melodramatyczna. Nie poszedłem bronić dysertacji ze względu na dziewczynę. Elżbieta nie powiedziała tego panu, chciała utaić. Tylko po co? Teraz i tak wszystko jedno. Utraciłem ją. Może i dlatego, że byłem proszący, że okazywałem słabość, że jestem dziwny. Głównie... głównie dlatego, że uwiódł ją profesor Ż. Tak. Zdziwił się pan. Właśnie tak. Po prostu. Stary, przemądrzały dziwak, mówił pięknie, niewątpliwie potrafi mówić o etyce naukowca, o przeszłości komunistycznej, o pomocy w marcu, a spod tych słów wyłazi zwykły penis. Znałem jego upodobania wcześniej, ale co innego wiedzieć, a co innego, gdy dotknie to osobiście. I pomyśleć, że nawet go lubiłem, uważałem za nieszkodliwego staruszka. Elżbieta była niewinna. Kochała mnie. On ją zapraszał do siebie, na sympozja, wreszcie się stało. Kolejny raz. Bo to nieprawda, co powiedziała panu, że nie spałem przed nią z nikim. Gdzieś na czwartym roku zakochałem się w dziewczynie z Delikatesów – ekspedientce. Jola miała 18 lat. Była piękna. Młoda, pełna niższości, niedojrzałości: „Albertynka – cud

dziewczynka”. Zna Pan. Z *Operetki*. Ach, jak ja ją kochałem. Łaziłem krok w krok. Obserwowałem jej amantów. Miała ich mnóstwo. Kupowałem codziennie cukierki w Delikatesach i wyrzucałem do kosza. Nie cierpię słodczy. Raz zaczęliśmy na ulicy, powiedziałem dwa słowa i koniec. Nie byłem luźny. Po co to mówię? Bo wtedy się zaczęło. Kiedyś zadzwoniłem do niej. Była sama. Przyjechałem. Przespaliśmy się. Po wszystkim – powiedziała – żebym przestał za nią chodzić. Myślałem, że oszaleję. Dała mi dobrą szkołę. Następne kontynuowały. Wanda zakochała się we mnie, kiedy przygotowywałem ją do egzaminów wstępnych na polonistykę. Miała chłopca. Bardzo go kochała. Jednocześnie jego i mnie. Ze mną straciła dziewictwo. Niedługo potem mnie rzuciła. Ruda Anka z PWST była erotomanką, chorobliwie przeczulone, impulsywne dziecko, które za wcześnie stało się kobietą. Spała ze mną i z młodym absolwentem reżyserii filmowej, także z kolegami z wydziału. Miała dobre serce. Zresztą była biseksualna. Lesbijka. Maryla nauczyła mnie miłości francuskiej. Pocieszałem ją, gdy mąż – mój kolega z Instytutu – na sesji naukowej w Karpaczu poznał studentkę z Wrocławia i w dwa dni potem zażądał rozwodu. Grażynę poznałem na Francuskiej, szła ze sprawunkami. Umówiłem się, nie przyszła. Szukałem jej po całej Saskiej Kępie. W trzy dni potem zadzwoniła. Wieczorem przyszła. Za parę dni miałem wysięk. Dobrze, że tylko rzeżączka. Skończyło się na strachu i zastrzyku. Elżbieta skończyła mnie. Wierzyłem jej. Myślałem o małżeństwie. Oceniam trafnie mój charakter, chwiejność, nierównowagę, ale z nią chciałem być na zawsze. Mam już dosyć tego. Gdybym był odważniejszy... Noszę ze sobą proszki. Marzę, by połknąć. Wie pan, to wszystko mnie przerasta. Całkowicie. Czuję się jak oszukane dziecko, któremu zaofiarowano podły lokal, zasmrodzony i brudny na miejsce egzystencji. Kiedyś w moim mieście marzyłem o czystości, pięknie. Prowadziłem ligę piłkarską. Proszę, 50 drużyn piłkarskich, stworzone przeze mnie. Znam wszystkich piłkarzy, prowadzę tabelę rozgrywek, strzelców bramek, notuję punkty. Codziennie godzinę, dwie poświęcam lidze. Żal mi trochę moich piłkarzy, jeżeli mnie nie będzie, ich też nie... Niech Pan powie, dlaczego tak trudno mi jest żyć, dlaczego ciągle coś na mnie spada. Inni mają proste, zwykłe życie, dziewczyny, żony, zwykłe dramaty nieprzerastające ich możliwości. A ja? Gdybym, chociaż miał wiarę. Dawno nie mam. Bóg to fikcja, tak samo urojona i nieudolna jak my wszyscy.

Na ulicy świeciły migotliwie lampy. Skręciłem z Nobla w Obrońców, a potem w Saską. Wsiadłem w 111. Zajrzałem do Pascala. Tego Pascala, którego otrzymałem od Janusza P. Otworzyłem na fragmencie „Zakładu”. Skoro trzeba koniecznie wybierać, jeden wybór nie jest z większym uszczerbkiem dla twego rozumu niż drugi. To punkt osądzony. A twoje szczęście? Zważmy zysk i stratę zakładając się, że Bóg jest. Rozpatrzmy te dwa wypadki: jeśli wygrasz, zyskujesz wszystko, jeśli przegrasz, nie tracisz nic. Zakładaj się tedy, że jest bez wahania. – Obok na marginesie stał duży znak zapytania, zrobiony ręką Janusza P. Jakby świadectwo jego wątpliwości. A może jako rezultat nieumiejętności wyjścia z ograniczeń. Uczynienia skoku, który w efekcie przyniósł niegdyś Pascalowi wiarę i oparcie

w rzeczywistym świecie, a i teraz mógł wciąż napełniać otuchą. Zamknąłem notatki. Właściwie wszystko zostało rozwiązane, problemu nie było. Doktorant Janusz P. obraził się na swego promotora. Tamten poderwał mu dziewczynę, ten nie zgodził się na obronę doktoratu. Jeszcze jedna prywatna rozgrywka, przyczynek do nurtujących nas kompleksów? Marksisci nazywali to inaczej. Dla nich było to obciążenie polskiej mentalności postszlacheckimi stereotypami honoru, przeczulenia na sobie, uwikłania w religijne zabobony.

W tydzień później spotkałem kolegę. Pracował w wydawnictwie. Przy winie okazało się, że zna Krzysztofa D. Postanowiłem pogadać z nim. Odżyły nadzieję na poznanie prawdy. Wznowiłem poszukiwania. Kolega obiecał pomoc. D. był speszony. Przepraszał, że nie chciał wtedy rozmawiać. – Zbyt poważna sprawa, aby o niej pisać – stwierdził. Wreszcie przełamał się.

– Nie można mówić, że się kogoś zbyt dobrze zna. Są to złudzenia. Siebie nie znamy, a co dopiero innych. A jednak mam wrażenie, że znam Janusza dobrze, za dobrze. Obserwuję go od dawna, byłem z nim od pierwszego roku studiów w jednej grupie ćwiczeniowej, na jednym seminarium. Jeździłem do domu, mieszkaliśmy w wynajmowanych pokojach. 8 lat razem. Nawet nie wiem, czy byliśmy przyjaciółmi. Po prostu byliśmy razem. Janusz to dzielny człowiek, odważny, mądry, dobry. Nadwrażliwy. Cierpi na hipertrofię, reaguje impulsywnie. Dostrzega konsekwencje niewidziane przez innych. Potrafi myśleć i łączyć w związki przyczynowo skutkowe odrębne wydarzenia, pozornie oddalone od siebie. Nie ma w nim nic z Tuwimowskiego straszego mieszczanina. Rzeczywistość traktuje poważnie. Za poważnie. To także kwestia wrażliwości. Po marcu on jeden bronił Andrzeja M. Wtedy, kiedy wszyscy się go wyparli, uznali za zdrajcę, odrzucili jego tłumaczenia. Tylko Janusz był wierny. Nagłe odstępianie M. od ruchu uważał za przełom ideowy, porównywał z Mochnackim. Obiektywnie rzecz biorąc odejście M. w momencie załamywania się ruchu marcowego było zdradą.

Janusz nawet wbrew rozsądkowi bronił Andrzeja, nie chciał wierzyć w zdradę, był ślepy i głuchy na wszystko, co odbiegało od ideałów przyjaźni i wierności. Ale często był przygnębiony, widziałem jak się bił z myślami, wahał, pytał mnie, czy można było tak postąpić, dlaczego? Płakał. M. znaczył dla niego dużo, bardzo dużo, po ojcu był największym autorytetem i nagle klops. Nie ma autorytetu. Trzeba na ślepo bronić, odpierać ataki, pocieszać pozostawionego samemu sobie intelektualistę – zdrajcę. Gorzka lekcja.

A przedtem ojciec. Było podobnie. Autorytet, mądry inżynier, przedwojenne studia, uwielbiany, delikatny, budzący miłość swoją dobrocią, szerokimi horyzontami, staje się staruszkim zręczącym pod nosem, którym trzeba się opiekować jak dzieckiem i który mimo woli budzi wstręt swoją niezdarnością. Starość pozbawiona wdzięku. Do tego dziewczyny. Głupie siksy, z których każda myślała o sobie, o zaspokojeniu własnego popędu i traktowała Janusza jak trutnia.

Dla Janusza miłość była religią, zaspokajała jego uczucia metafizyczne. Do swoich dziewczyn się modlił, palił przed nim świeczki, aż spłonął sam. Teraz to

już wrak. Sprawa z Elżbietą była zwieńczeniem. Oczywiście mógł bronić. Tylko, po co? Doktor znaczy po łacinie nauczyciel, mistrz. W sytuacji Janusza byłby to sarkazm. Nie chciał być doktorem, bo uznał mądrość za nieprzydatną w świecie, w którym przyszło mu żyć. Wygrywali nie tyle mądrzy, co twardzi, dobrze ustawieni, nieczuli. Mądrzy okazywali się albo tchórzami, albo niezdolnymi do niczego ludzkimi wrakami, którym trzeba wycierać nosy. Czyż można z taką perspektywą żyć i uważać się za mądrego?

„Nie ma mądrego na życie”. Brzmi to jak knajacka filozofia, ale czasem pijak z „Oazy” więcej wie o ludzkiej kondycji niż myśliciel. Zresztą Janusz może się wyleczyć. Dlatego chciałem, żeby go pan zostawił w spokoju. Potrzeba mu ciszy. Feudalna struktura naszego Instytutu nie sprzyja przemyśleniom. Nikt nie jest dalszy od myślenia i nauki niż zawodowi naukowcy. A zresztą Instytut powstał na wzór sowieckiej struktury i miał podobne do tamtych cele. Janusz P. i tak się nie mieścił pośród pracowników naukowych Akademii. Gdybym chciał panu opowiedzieć o stosunkach w Instytucie, powstałby nowy reportaż. Czy już teraz pan wie? Wystarczy?

Podziękowałem. Z jednego zakończenia zrobiło się kilka. To, co miało być jednoznaczna odpowiedzią, rozmyło się w psychologicznych alternatywach ludzkiej duszy. Poczuliśmy się nędzni i mały wobec tej wielości półprawd, określeń, tez usiłujących wyjaśnić rzeczywistość.

Co jest rozumne jest rzeczywiste, co rzeczywiste jest rozumne. Przypomniałem sobie heglowską myśl, piękną w swej prostocie i totalności racjonalisty. Tylko, co zrobić, gdy rzeczywistość nie jest rozumna? Zmienić rzeczywistość, czy może przekształcić rozum? Janusz P. wybrał inaczej. Zerwał z rozumem.

Marek Zieliński – publicysta, krytyk literacki, urzędnik państwowy, dyplomata. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (filologia polska i dziennikarstwo) oraz SGH (Podyplomowe Studium Służby Zagranicznej). W latach 1973–1991 pracował w redakcjach: dwutygodnika „Student”; dwutygodnika „Nowe Książki”; tygodnika „Kultura”; miesięcznika „Więź” oraz „Tygodnika Solidarność”. Był konsulem RP w Kolonii, Bernie, Irkucku i Moskwie, dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie i kierował Wydziałem Promocji Handlu i Inwestycji w Moskwie. Współpracował z lubelskim środowiskiem wychodzącego poza cenzurą periodyku „Spotkania”; z Instytutem Literackim w Paryżu oraz z Północnoamerykańskim Studium Spraw Polskich w Ann Arbor. Zamieszczał teksty w opracowaniach zbiorowych (ostatnio w tomie: *Kościół na łamach paryskiej Kultury w latach 1946–2000*, Instytut Literacki Kultura – Instytut Książki Paryż – Kraków 2015). Wydał dwie książki poświęcone literaturze: *Kilka niewzruszonych przekonań* (1987, Biblioteka Więzi) i *Ucieczka przed Polską. Szkice nie tylko o literaturze* (2006, Arcana). W okresie od 12/13 grudnia 1981 do 30 października 1982 był internowany w ASW Białoleka i Obozie Internowanych w Strzebielinku.